Rok III.

Nr. 48. Nr. 48.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 29 listopada 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Zawsze toż samo.

Tak jest, zawsze toż samo bez umęczenia powtarzać należy, dopóki głos podniesiony w imię publicznego dobra wysłuchanym nie zostanie, dopóki nie rozbudzi się zastanowienie i rozwaga.

Wielokrotnie już i przy rozmaitych sposobnościach staraliśmy się zwrócić uwagę publiczną na opłakania godny stan społecznych naszych stósunków, na to fatalne dla narodowego życia przerzucanie się z ostateczności w ostateczność, które sprawia, iż prawidłowo jako organizm rozwijać się nie możemy.

Przez długi szereg lat aż do ostatniego powstania byliśmy wszyscy żarliwymi poetami. W zaciszu domowém czytaliśmy romanse, powieści, broszury polityczne; uczyliśmy się na pamięć ulubionych poetów. Zebrani w kółka towarzyskie rozprawialiśmy o teatrze, sztukach pięknych, o Garibaldim i Napoleonie, snuliśmy idylle politycznych kombinacji które nas w przyszłości — zwykle następna wiosna miała być tą przyszłością — niechybnie zbawić muszą. Powszechnie panująca belletrystyczno - polityczna frenezja doszła do tego stopnia, że młodzież uniwersytecka rzuciła książki fachowe pod stół, by na nim rozłożyć kartę geograficzną i broszury Edmunda About lub też zeszyt do popełniania wodnistych rymów, że poważni obywatele i ojcowie rodzin podporządkowali jéj obowiązkowe zajęcia swego zawodu.

Stało się tedy że gospodarstwo rólne podupadło, że handel i przemysł przeszedł w ręce żydów i Niemców, wyzyskujących nas na wszelkie sposoby, wyssysających jak pijawki żywotne nasze soki.

Cóż zyskaliśmy na tym poetycznym kierunku, doprowadzonym do ostateczności kosztem zaniedbania realnych zabiegów?

W polityce wewnętrznéj stworzyliśmy system wyśpiewywania ojczyzny, w zewnętrznéj zaś fetyszyzm dla Zachodu z dewizą „jakoś to będzie“; w nauce zato nie stworzyliśmy literalnie nic, prócz bowiem olbrzymiego stosu powieści i rymów, rozpalających wyobraźnię, epoka owa belletrystyczno-politycznéj ostateczności nie wykaże się wielu oryginalnemi, samodzielnemi dziełami naukowemi, któreby świadczyły, iż starano się o gruntowną wiedzę.

Od rozognionych nerwów zajęła się pożarem bujająca po lazurowych falach fantazji narodowa nawa. Strumieniami krwi naszéj serdecznéj ugaszono płomienie i nastały czasy reakcji zaniedbanego poprzednio a doprowadzonego dziś do ostateczności materjalnego kierunku. Jak wówczas literatura i sztuka były przedmiotem rozmyślań, rozmów i powszechnych uniesień, tak dziś bankowość, handel i giełda stały się wyłącznym ideałem. Jak wówczas powołanie literackie było celem ogólnéj pożądliwości a każden powołany i niepowołany rwał się do pióra lub palety, tak dziś miano ban-

kiera lub przemysłowca jest upragnioném a każden bije głową o mur, byle tylko postawić się za komptoarem kupieckim. Jak o brak należytego przygotowania do pełnienia a umysłowego wyrobienia do utrzymania postępowego rozwoju i ciągłości zawodu rozbił się kierunek idealnéj ostateczności — tak o też same zapory rozbija się dziś kierunek wyłącznie materjalny.

Pierwszy zapomniawszy o potrzebie prac ekonomicznych, zesztywniał w czczości i zmarł na suchoty, drugi zaparł się potrzeb duchowych i kona dziś pod gruzami gmachu zbudowanego bez podwalin i po dyletancku.

Dla czego się tak stało i dla czego się tak dzieje?

Bo żadna ostateczność nie ma racji bytu, bo wszelka skrajność prowadzi do idjotyzmu lub rozbestwienia.

Społeczeństwo jest istotą organiczną której byt i trwałość warunkuje się harmonją zbiorowych usiłowań wszystkich składowych części około postępowego rozwijania się we wszystkich kierunkach. Pielęgnując jeden a zaniedbując drugi psujemy równowagę, wywołujemy nieprawidłowość rozwoju a w następstwie stan chorobliwy, który nam nieustannie dokucza. Cóż pomoże sztuczne podtrzymywanie organizmu z jednéj strony, gdy druga cierpi? Cierpienia choćby jednéj cząstki udzielą się rychło całości i ta coraz dotkliwiéj szwankować będzie, aż w końcu nastąpi rozstrój i śmierć.

Takie jest już prawidło organicznego życia, którego nie podtrzymuje się paljatywami, projektami i cholerycznemi wybuchami, lecz ciężką i nieustanną pracą na wsze strony.

Bez pomocy środków materjalnych nie zdołamy wytworzyć nic skończonego i trwałego w kierunku duchowym a umysłowość chromać będzie.

Bez współdziałania umysłowości, bez duchowéj podpory wszelkie materjalne prace niedomagać będą na brak systemu i skończą się na rozprzężeniu, jakiego jesteśmy świadkami w obecnéj chwili.

W umysłowo wykształconém lecz w zasoby materjalne ubogiém społeczeństwie wytwarza się proletarjat inteligencji. W materjalnie zasobném lecz umysłowo zaniedbaném społeczeństwie kiełkuje żydowszczyzna szwargocząca narodowym językiem bez narodowego poczucia w piersiach.

Jedno i drugie jest śmiertelną chorobą, która — niech się na nas gniewa, kto chce — u nas zwolna pojawiać się zaczyna.

Nie widzi jéj tylko ślepy, lub chcący za takiego uchodzić.

Kto widzi jasno, kto ma odwagę dotknąć palcem rozognionéj rany, choćby ból łzy z oczu wyciskał, kto dla miłości ojczyzny gotów złożyć całopalenie osobistéj popularności i narazić się nawet na plwanie narodowych pochlebców i faryzeuszów patrjotyzmu — ten niech oręduje w imię Boga opamiętanie i rozwagę.

Jesteśmy leniwi. Obałamuca nas pierwszy lepszy arogant i krzykacz, któremu, byle się niczém nie trudzić, powierzamy ster najważniejszych interesów. Wdeklamuje w nas i wmówi, że trzeba być idealistami, a wnet zaczynamy marzyć, zaniedbując ze szczętem rozwój materjalny. Udowodni nam byle jakim frazesem, że podnieść się możemy tylko idąc drogą prac materjalnych, a już na niéj stajemy nie pytając się wcale, kto nas prowadzi, komu powierzamy nasze i naszych rodzin mienie.

Zacietrzewieni propagandą niesformułowanéj zupełnie „pracy organicznéj“ w kierunku materjalnym — oddaliśmy w poniewierkę wszelkie inne wyższe poczucia i potrzeby a dostaliśmy w zamian wyprodukowaną na plantacjach „pracy organicznéj“ torbę i kij.

Taką „pracą organiczną“, jaką nam blagowano, było negusostwo i nieporadność. Istotną zaś pracą organiczną — o któréj mowy nie było — jest wszelka praca rozumna, polegająca przedewszystkiém na umiejętności, na uwzględnieniu tak duchowego jak materjalnego kierunku.

Chcieć pracować, to mało — trzeba umieć i dobrze umieć pracować. Z dziś na jutro niepodobna zostać ani bankierem ani przemysłowcem, ani uczonym ani literatem — tak jak z dziś na jutro nie można zostać szewcem, krawcem lub stolarzem, dla tego tylko, że się nim na podstawie widzimisię zostać pragnie. Praca twórcza wymaga pracy przygotowawczéj, inaczéj pracować będziemy na krach, który dotknąwszy nas w dziedzinie polityki i nauki, dotyka nas teraz na polu ekonomiczném.

Źle się dzieje, ale do rozpaczliwego położenia jeszcze daleko. Przy lekkomyślności i lenistwie posiadamy niepospolitą żywotną siłę. Korzystajmy z niéj, póki czas. Niechaj świeże ciosy będą ostatniém uderzeniem hartującego nas młota. Powiedzmy sobie, że od téj chwili każden gorliwie i trwale w obrębie swéj działalności pracować zaczyna, że dzieci nasze przygotowywać będziemy do pracy w zawodzie, jaki im przeznaczamy lub jaki sobie obiorą, że prac zbiorowych nie będziemy zaczynali od dachu lecz starali się, aby zrastały się z prac pojedyńczych, że rzucać się nie będziemy wszyscy na raz i na oślep w jednym tylko kierunku, że rosnąc w zasoby materjalne wyrabiać w sobie będziemy potrzeby duchowe, że czynić im chętnie będziemy zadość i wspierać tym sposobem tych, co krzątają się przeważnie około umysłowego postępu.

Tak postępując spełniać będziemy istotną organiczną pracę, podniesiemy się materjalnie, wzmocnimy i uszlachetnimy duchowo a nadewszystko przybliżymy tę przez nas wszystkich upragnioną chwilę, któréj ani nam wyśpiewać u siebie ani u obcych wypłakać.

Kobieta w historji sztuki.

V. (a).

List, który w téj chwili zaczynam, będzie dłuższy od poprzednich. Wnioskuję to ze surowego materjału, jaki w notatach nagromadzony leży przedemną a który muszę przerobić na historją kobiéty-artystki w siedmnastym wieku.

Proszę zatém uzbroić się w cierpliwość i uwagę, a nie będziesz Pani żałowała czasu użytego na odczytanie dzisiejszego listu.

Poprzednie listy zaczynałem ogólną charakterystyką wieku, w którym kobiéta jako artystka pracowała. Wychodziłem bowiem z zasady, że chcąc zrozumieć działanie i życie artystów, trzeba poznać ogólno dziejowe prądy, jakiemi szła ludzkość w następstwie wiekowém, trzeba malować jednostki na wspólném tle czasu.

I w tym liście będę się trzymał raz przyjętéj zasady, chociaż forma, w jakiéj dzisiaj podaję charakterystykę wieku, jest odmienną od poprzednich. Ale bo téż i wiek, którego obraz mam Pani skreślić, jest innego rodzaju i odmiennego wymaga pędzla.

Patrząc na wiek poprzedni, na czas i ludzi szesnastego stulecia, mimowoli przechodzimy z przedmiotowéj obserwacji do podziwu; zostawiamy krytycyzm historyczny na boku a dajemy się unosić owoczesnemu duchowi wieku, który taką potężną jedną siłą wieje z kart historji; pragnęlibyśmy mieć Weroneńczyka farby, aby oddać świetność dziejową szesnastego wieku. — Nie wiemy co podziwiać więcéj, czy ludzi, którzy wytwarzali czasy, czy czas tworzący ludzi, bo czas i ludzie równie potężni, olbrzymi. Jedna myśl, jedno dążenie objawia się w ludach ówczesnych, dla tego wiek szesnasty przedstawia się oczom naszym jakby olbrzymi, jednego odlewu posąg, na którego piedestale wyryła historja napis: Reformacja i Renesans.

Spadkobierca jego — wiek siedmnasty — inaczéj każe patrzeć na siebie. Trzeba nań patrzeć li tylko chłodno, podejrzliwie, sumiennie, ze wszech stron, aby nie stracić nici, jaka prowadzi po tym labiryncie dziejowym, aby módz pojąć dążenie wieku.

Prowadzi on daléj rozpoczętą przez wiek poprzedni pracę koło wolności politycznéj ludów i wolności sumienia; rozszerza swobodę jednostek, utwierdza panowanie ducha i rozumu — zatém rozwija nauki.

Nie dostrzeżesz Pani téj pracy, jeżeli na wiek ów popatrzysz za pomocą jakiego „Podręcznika do historji“, bo pozorne sprzeczności, nawał dziejowych wypadków, z których jeden przeczy drugiemu i na odrębne wiedzie drogi; upadki miasto rozkwitu, stykające się ostateczności w życiu ludów, nie dadzą Ci ująć dziejowego wątku, ukrytego po za zdarzeniami; nie pozwolą Pani zrozumieć całości wieku i dążeń jego.

Zapytaj jednak zdarzeń o przyczyny ich powstania, porównaj ostateczności nawet między sobą a znajdziesz prawo, jakiém się rządzi historja, zrozumiesz przewodnią myśl, — jedno, łączące dążenie w wieku siedmnastym.

Przepatrzmy karty historji tego stulecia.

Niemcy widownią trzydziestoletniéj wojny, roznieconéj złamaniem cesarskich przyrzeczeń względem protestantów. Katolicyzm i absolutyzm cesarski staje przeciw zjednoczonemu protestantyzmowi i żądaniom ludów. Walka ta pustoszy Niemcy; miasta zniszczone, wszędzie sterczą zgliszcza pożarów; całe okolice zalegają trupy stron walczących i rozpasane krwią i rabunkiem żołdactwo. Francja, Szwecja, Danja wmięszane w wojnę; walka religijna staje się walką międzynarodową, choć ostateczny jéj rezultat ma równie religijny jak państwowy charakter. Pokój westfalski, kończący wojnę trzydziestoletnią, zapewnia wolność wyznania niekatolikom, daje im obywatelskie równouprawnienie, a ogranicza absolutyzm cesarzów niemieckich tak, że odtąd staje się prawie illuzorycznym w obec ustępstw, jakie korona ludom uczynić musiała. Nie jestże to jedną ze świetnych zdobyczy wieku siedmnastego?

Z mgły północnéj wychyla się na widownią europejskich dziejów młoda Szwecja, pełna siły żywotnéj — obronicielka wolności sumienia i staje się pierwszém mocarstwem na północy Europy.

We Włoszech pokój ciągły prawie; życie polityczne ludu gnuśnieje przytłumione wpływami obcych.

Hiszpanja, strącona z pierwszorzędnego stanowiska europejskiego, staje się państwem drugiego rzędu i chowa za Pireneje, podczas gdy jéj najbliższa sąsiadka Francja staje na najwyższym szczeblu państwowéj i duchowéj potęgi; rozszerza się zdobyczami, jakie jéj przyniosła trzydziestoletnia wojna; pod Ludwikiem XIV urasta w pierwszorzędne państwo, wpływa na losy Europy a na wewnątrz rządzi się bezwzględnym absolutyzmem, w obec którego milknie głos narodu. Państwo to ja — powiedział Ludwik XIV — i dobrze z tém było Francji siedmnastego wieku.

Polityką na zewnątrz kierował Richelieu, zarząd wewnętrzny finansów spoczywał w rękach Colberta; kwitły we Francji nauki i sztuka — doskonalił się język.

Gdyby wiek siedmnasty we Francji wydał tylko Descartesa i Pascala, jużby miał prawo do nieśmiertelności; o ileż więcéj, gdy czas ten szczyci się Corneillem, Racinem, Molierem, Malebranchem, Baylem i innymi znakomitymi pracownikami wieku.

Anglja z początkiem stulecia dostaje na tron Sztuartów, ale znieważone przez nich uczucia religijne i obywatelskie niekatolickiéj większości narodu przyprawiają ich o utratę berła, a Anglja zostaje republiką pod opieką Cromwella, aby po śmierci tegoż znowu na tron powołać Sztuartów, którzy przyznają ludowi w prawie Habeas Corpus obywatelską wolność, ale złamawszy ją po raz wtóry, muszą przy końcu wieku ustąpić miejsca Wilhelmowi z Oranji.

Anglja mimo wewnętrznych niepokojów i zmian formy rządu kwitnie a okres świetności nauk i sztuki trwa jeszcze ciągle w wieku siedmnastym i wydaje filozofów jak Baco de Verulam, Newton, Hobbes, Locke, poetów jak Milton!

W wieku tym oswobadzają się Niderlandy z pod hiszpańskiego jarzma, jednoczą w republikę, zyskują uznanie ze strony Niemiec a potém i reszty państw; stają się niepodległą, wolną krainą handlową a w połowie wieku są już pierwszorzędném państwem, które kwitnie przemysłem, handlem, dobrobytem i sztuką.

O bo z wolnością pojawiły się w Niderlandach potężne genjusze, które miały otworzyć sztuce nowe, niewyzyskane dotąd światy ideałów.

Jeszcze jedno zostaje nam państwo, któreśmy w stanie takiego rozkwitu zostawili w wieku poprzednim; ale wolałbym o niém nie mówić, bo powtórzyć nie mogę słów moich z poprzedniego listu, tyczących się tego państwa.

Czy domyśla się Pani, o którém państwie mówię? O Polsce!

Świetność dziejowa nasza kończy się z wiekiem szesnastym, a przez przeciąg siedmnastego stulecia pod Wazami i królami elekcyjnymi zbliżamy się powoli do dziejowego grobu.

Gdy we Francji król twierdzi, że państwo to ja —

(a) List ten, zbyt długi na jeden numer, dzielimy na dwie części. (Przyp. Red.).

u nas każdy szlachcic nosi berło w kieszeni i przekonany jest, że Polska to on — a jeden i drugi ma słuszność; tylko, że absolutyzm królewski organizuje państwo i stawia Francją na wysokim stopniu rozwoju — a absolutyzm szlachecki u nas podkopuje byt państwa i wiedzie go do upadku.

Polska już w szesnastym wieku rządzi się prawem, że nikogo więzić nie wolno, jeżeli nie został osądzony prawnie, — Anglja nadaje go ludowi dópiéro w siedmnastym wieku; ale Anglji pomaga owo prawo do rozwoju — nam szkodzi; tam wyradza poszanowanie dla prawa — u nas prawo staje się narzędziem możnowładców.

Niderlandy podnoszą się, bo obok szlachty zyskały prawo głosu — miasta; my upadamy, bo psujących się żywiołów szlacheckich nie możemy zastąpić silną inteligencją miast.

Hiszpanja upada politycznie, ale rośnie nauką i sztuką; my z upadkiem politycznym łączymy upadek nauk i sztuki.

Nie smutnyż to obraz państwa, które jeszcze przed chwilą zajmowało pierwszorzędne stanowisko na wschodzie Europy?

A przecież była w nas siła do życia, siła potężna — tylko jéj zużytkować nie umieliśmy.

Jakby na szyderstwo przekazuje nam historja tego wieku świetne czyny narodu, wykonane bez korzyści dla niego.

Nam potrzeba ratunku, bo upadamy, ale my nie pomagamy sobie, wolimy iść ratować drugich upadających — siły potrzebne dla własnego kraju niszczymy pod murami Wiednia, a wyratowane państwo czémże nam w następnym wieku odpłaca? Czy także ratunkiem? Historja podziału mówi inaczéj.

Smutne to dzieje wieku siedmnastego w Polsce — a ostateczny wynik tychże jest, że się zbliżamy do grobu, a prowadzi nas do niego polityczne krótkowidztwo króli — złota szlachecka wolność — prywata dygnitarzy — nieszanowanie prawa — i wychowanie jezuickie.

Przesunąłem przed Panią szereg dziejowych obrazków — pozostaje ci tylko rozpatrzeć się w nich, zastanowić a z pewnością zyskasz o wieku siedmnastym przekonanie, że mimo upadków, mimo pozornéj niekonsekwencji w działaniu — wiek ten w głębiach swych pracuje żywo koło wolności ludów.

Takim był wiek siedmnasty co do politycznego ustroju — zapytajmy następnie jaką była jego sztuka?

W jednym z poprzednich listów powiedzieliśmy, że rozkwit sztuki renesansowéj najpierw we Włoszech nastąpił, a teraz dodamy, że się także we Włoszech najpierw zakończył, tak, że ostatnich trzech dziesięcioleci wieku szesnastego już do okresu świetności sztuki liczyć nie możemy. Wytłómaczę się, dla czego.

Sztuka renesansowa we Włoszech obfitowała — jak poprzednio mieliśmy sposobność powiedzieć — w genjusze.

Religijna wiara, odrodzona i ukrzepiona w walce, — rozbudziła w sercach artystów cały świat czystych, chrześcijańskich uczuć — otwarła im oczy na prawdziwą boskość i stała się źródłem natchnień ich sztuki.

Z drugiéj strony studja dzieł klasycznéj starożytności wtajemniczyły artystów w piękności form, a wdzięk linji, proporcjonalność składowych części, śmiałość, poprawność i pewność rysunku zawdzięczają przeważnie studjom tym dzieł starożytnych.

Oryginalną cechą artystów renesansu jest wielkość kompozycji, układu, odznaczająca ich dzieła.

Takie są pierwiastki składowe sztuki renesansowéj.

Myśli lotne sięgające niebios — głębokie jak bezdnie ducha — kompozycja mistrzowska — doskonałość form i niezrównane wykonanie techniczne, oto przymioty genjuszów jak Leonardo, Rafael, Michał Anioł, genjuszów, którzy zaprowadzili sztukę tam, gdzie nie wielu sięgnąć może.

To też kiedy brakło tytanów a pigmeje czepiające się nóg ich chciały iść temiż śladami, genjusz sztuki odwrócił się od nich i zostawił samym sobie. A wtedy?

Wówczas zapanowała maniera. Bo następcy naśladując olbrzymów rwali się bez natchnienia i wiary do kompozycji głębokiéj treści, starali zrównać się z nimi pod względem pomysłów, rysunku, wykonania; ale ponieważ nie mieli genjuszu tamtych, stwarzali tylko konwencjonalne powtórzenia nie dających się powtórzyć arcydzieł.

Naśladownictwo prawie niewolnicze, manierowany sposób kompozycji i rysunku wyrodził się daléj w bezmyślność i stał źródłem upadku sztuki przy końcu szesnastego wieku.

Upadek ten trwać długo nie mógł, bo ludzkość nie może zadowolić się bezmyślnością, gdyż myśli i pragnie myśli — to też początek wieku siedmnastego zastaje nowy zwrot sztuki – niweczący manierę poprzedniéj. Zwrot ten odbywa się równocześnie w dwóch kierunkach: jednym postępuje szkoła Caraccich w Bononji — zwana szkołą Eklektyków — drugim Amerighi Caravaggio w Neapolu i szkoła jego przezwana szkołą Naturalistów.

Kierunek w jakim szła szkoła Eklektyków — zwana także akademicką szkołą od akademji, jaką założyli bracia Caracci w Bononji — zasadzał się na gruntownych studjach dzieł mistrzów renesansowych tak pod względem treści jak formy. Na podstawie takich studjów przyswajano sobie z najcelniejszych mistrzów ich właściwości, a łącząc przymioty tychże razem, stwarzano dzieła niepoślednéj wartości, niekiedy genjalne, którym jednakowoż mimo staranności rysunku, kompozycji, kolorytu, brakło tego potężnego tchnienia oryginalności, jakie cechuje sztukę renesansową.

I nie mogło być inaczéj, gdyż co tam tworzyło natchnienie, tu było wypływem zimnego obrachowania — rozumowego wyboru.

Szkoła ta prócz Caraccich wydała artystów jak Dominichino, Guido Reni, Sassoferrato, Carlo Dolce, Guercino da Cento — a brak oryginalności pomysłów zastępowała starannością wykonania, wdziękiem form i kolorytem, przypominającym często pędzel weneckich malarzy — i ma wreszcie tę wielką zasługę, że sztukę zwróciła z drogi bezmyślnéj maniery.

Druga szkoła — Naturalistów — samém nazwaniem określa swój kierunek. Zwolennikom téj szkoły chodziło przedewszystkiém o wierne oddanie natury w dziełach swoich.

Idealizm sięgający niebios a sprofanowany manierą pigmejczyków nie zadowolił téj szkoły — obejrzała się za realniejszemi ideałami i odnalazła je w człowieku i naturze jego, w przedstawieniu jego codziennego życia, jego ziemskich namiętności; — nie troszcząc się wiele o piękność form poprzednich mistrzów, starała się oddawać przedmioty jak się one okazują w rzeczywistości — piękne, brzydkie, nawet potworne, byle miały cechę prawdy.

Pierwsi mistrze téj szkoły chorują wprawdzie na przesadę, uganiając za prawdą natury; i kiedy mają oddawać pędzlem idealniejsze postacie ludzkie w ich chwilach boleści, rozpaczy, śmierci, popadają w taką teatralną przesadę, że postacie ich budzą zamiast grozy wstręt i obrzydzenie; ale za to kiedy malują zwykłego człowieka z namiętnościami jego, kiedy zwracają się do ludu i jego typów — wówczas są niezrównani, potężni, prawdziwi a zwłaszcza i nadewszystko — oryginalni.

Mimo wszelkich wad, jakie szkoła ta w swych początkowych uczniach pokazuje, musimy jéj przyznać wyższość nad szkołą Eklektyków, wyższość, która polega

na oryginalności i potężnéj sile życia, jaka tryska z utworów téj szkoły.

Szkoła Naturalistów zaczęta Amerighim Caravaggio a reprezentowana w dalszym ciągu przez artystów jak Spagnoletto, Salvator Rosa, Luca Giordano i złagodzona w swéj rubasznéj, naturalistycznéj drastyczności wpływami klasycznych studjów i zetknięciem się ze szkołą Caraccich — stała się wpływową w całéj Europie — zmieniła dotychczasowy idealny kierunek sztuki na realny — a tém samém zyskała rację bytu na przyszłość — gdyż ludy coraz więcéj badały siebie i ze studjów nieba przechodziły do studjów ziemi — natury.

Dwie te szkoły dopełniały się wzajemnie. Naturaliści dali oryginalność pomysłów, — Eklektycy wyrobione formy, a sztuka oparta na tych dwóch pierwiastkach przeszła Europę całą — zmieniając charakter swój według usposobienia ludów na mniéj lub więcéj realistyczny i nie powiemy za wiele twierdząc, że wpływ ten pokierował sztuką wszystkich następnych stuleci.

Tyle o malarstwie wieku w ogóle. Rzeźba i architektura jak szczęśliwie wyrodziły się po śmierci Michała Anioła w bezprawidłowy styl barocco, tak szły przez wiek cały ku coraz większemu upadkowi, przybierając rozmaite odcienia cudaczności aby się spotęgować w nonsens jako styl jezuicki, rococco, perukowy.

Takiém było położenie sztuk plastycznych w siedmnastym wieku a kobiéta jeszcze więcéj wolna niż w poprzedniém stuleciu, miała obszerne pole do czynności artystycznéj.

I korzystała z niego!

Jeżeli historja literatury powszechnéj może wykazać bardzo wiele świetnych nazwisk kobiécych z siedmnastego wieku, historja sztuki nie daje się wyprzedzić tamtéj w uznaniu zasług niewieścich i na dowód pokażę Pani, jak ogromna liczba kobiét poświęcała się plastycznym sztukom i jaką chwałą okrył się ród niewieści sięgając po artystyczne wawrzyny.

Zacznijmy od Włoch — łaskawa Pani — od kraju tak ukochanego przez genjusza sztuki, że mu nigdy na wielkich artystach nie brakło. Idźmy do ojczyzny Petrarki i Danta — nie dla szukania cieniów Laury lub Beatryczy — ale żeby przypatrzeć się córkom italskiéj ziemi, artystkom siedmnastego wieku.

Szkoła Caraccich, zawiązawszy się w ostatnich latach szesnastego wieku, w krótkim czasie zyskała wpływ na artystów i przyciągnęła do siebie znakomite siły; nic więc dziwnego, że i kobiéta-artystka, błąkająca się po bezdrożach maniery, chętnie spieszyła pod skrzydła nowego kierunku i dla tego największa część artystek włoskich należy do szkoły Eklektyków.

W przeszłym liście wspomnieliśmy nawiasem o Lawinii Fontana jako należącéj do téj szkoły. Tutaj więc miejsce pomówić o niéj obszerniéj — tém więcéj — że należy do znakomitszych artystek wieku.

Lawinia była córką Prospera Fontany — malarza manierzysty, który byłby z pewnością utonął „w zapomnienia fali", gdyby nie okoliczność, że był pierwszym nauczycielem Ludwika Caracci, owego sławnego założyciela szkoły Eklektyków.

Lawinia kształciła się w malarstwie pod przewodnictwem ojca swego i wielkie już — zwłaszcza w portrecie — zrobiła postępy — gdy ujrzawszy dzieła szkoły Caraccich, porzuciła manierowany sposób malowania i przyłączyła się do kierunku téj szkoły.

Wkrótce już była sławną, a dzieła, które utworzyła pod wpływem bonońskiéj akademji, odznaczają się silnym, ciepłym kolorytem, starannością wykonania i poprawnością rysunku. — Malowała przeważnie portrety; prócz tych komponuje także obrazy religijne większych rozmiarów a nawet odtwarza postacie mitologiczne, które, jak świadczy Wenera w berlińskiém muzeum, wcale jéj się udawały.

Kobiéty — zwłaszcza panie rzymskie — ubiegały się o portrety jéj pędzla a jako malarka papieża Grzegorza XIII odbierała hołdy ziomków.

Mężem jéj był niejaki Jan Zappi — człowiek, jak to mówią, Bogu ducha winien — który z dyletantyzmu trudnił się malarstwem i sławnéj żonie swojéj pomagał malować suknie na portretach wykonanych przez nią a prócz tego grał rolę gospodarza, gdy w domu artystki zebrało się wybrane kółko wyższego towarzystwa rzymskiego. Lawinia umarła w roku 1614 — a choć większą połową życia należy do wieku szesnastego — dzieła każą ją liczyć do artystek siedmnastego.

Bezpośrednią uczennicą Ludwika Caracci była malarka Antonia Pinelli — przez nauczyciela swego wysoko ceniona artystka.

Uczennicą genjalnego Dominichina była Artemisia Gentileschi, córka malarza Horacego — urodzona w r. 1590.

Zdaje się, że ojciec uczył ją malarstwa, bo gdy poszła za mąż, za niejakiego Schiatessi z Neapolu — malowała dla własnéj przyjemności i nazwisko jéj byłoby z pewnością zostało nieznaném, gdyby nie szczęśliwy wypadek, że ją poznał jeden z najcelniejszych mistrzów bonońskiéj szkoły — Guido Reni. On zwrócił uwagę na jéj talent, któremu tylko trzeba było nauki, aby zabłysnął pięknością. Zachęcona i poparta przez Guida Reni poświęca się Artemisia malarstwu i wykształca na artystkę pod przewodnictwem i na wzorach Dominichina tak, że sława jéj jako portrecistki rozchodzi się po Włoszech a Karól I wzywa ją do Anglji, gdzie przebywa lat kilka zatrudniona królewskiemi obstalunkami. Pomnożywszy sławę i finanse wraca do Neapolu, osiedla się, otwiera świetny towarzyski salon a życie jéj jako damy i artystki przerywa śmierć w r. 1642.

Jeden z obrazów Artemisii, przedstawiający Judytę, znajduje się w pałacu Pitti we Florencji. Jeśli sposób jéj malowania wolno sądzić z obrazu tego, musimy wówczas przyznać mu zalety rysunku i kolorytu; a co się tyczy pojęcia przedmiotu, to widać w nim wpływ szkoły Naturalistów, objawiający się energją i śmiałością traktowania.

Uczennicami Dominichina prócz powyższéj — były także malarki: Flawia Durand i Teresa del Po. Ostatnia trudniła się także miedziorytnictwem.

Do uczennic Lanfranca należy Katarzyna Ginnasia. Okazała ona wcześnie talent do malarstwa, dla tego wuj jéj kardynał kazał ją kształcić malarzowi Clelio. Po śmierci tego nauczyciela rzuciwszy na bok wszelkie zwykłe niewieście prace, wyłącznie poświęciła się malarstwu, tworząc według wzorów mistrza Lanfranco.

Wuj jéj kardynał postawił w Rzymie kościół świętéj Łucji, Katarzyna ozdobiła go malaturami własnego pędzla; a gdy śmierć wuja uczyniła artystkę spadkobierczynią wielkiego majątku — ufundowała klasztor według woli testatora i została w nim przeorysza.

Do saméj śmierci w r. 1680 nie porzuciła palety i pędzla ale zdobiła klasztor przez siebie ufundowany.

Wypada nam jeszcze wspomnieć malarki: Flaminią Triva z Reggio i Magdalenę Natali — uczennicę Guida Reni.

A teraz przystępuję do artystki zwanéj przez współczesnych „cudem sztuki", a któréj nazwisko dodaje rzeczywiście blasku szkole bonońskiéj i sztuce włoskiéj w ogóle.

Artystką tą jest Elżbieta Sirani.

Elżbieta — urodzona r. 1641 — jest córką malarza Jana Andrzeja Sirani, który był uczniem sławnego mistrza — Guida Reni. Ponieważ dziewczę okazywało wielkie zamiłowanie do sztuki i talent jéj samodzielnie objawiać się zaczynał, przeto ojciec począł ją kształcić na malarkę, — a ponieważ sam hołdował szkole Carac-

cich jako uczeń Guida Reni, zatém i z córki swéj zrobił zwolenniczkę i uczennicę tego kierunku. Wyszedłszy ze szkoły ojca kształciła się artystka na dziełach Guida Reni i talent jéj do takiéj urósł potęgi, że współcześni znawcy oglądając obrazy młodéj artystki, okrzyku podziwienia wstrzymać nie mogli. Osobistość jéj ujmowała serca — warto posłuchać, co o niéj mówią współcześni.

Była piękną, miłą i dobrą — niezmordowaną w pracy, skromną w żądaniach. Prostota była jéj ozdobą a łagodność i chętność, z jaką wykonywała najpodrzędniejsze domowe zatrudnienia, czyniła ją aniołem rodziny i domu. Kochała poezję i muzykę — władała po mistrzowsku pędzlem a prócz tego czynną była rylcem i dłutem. Bystrość umysłu — sąd o sztuce wyrobiony i głęboki czynił ją ozdobą grona artystów; a jeśli dodamy do tych wszystkich przymiotów — głęboką miłość dla ojca i sióstr — będziemy mieli w Elżbiecie skończony ideał kobiéty.

Obrazy jéj zbliżają się sposobem malowania do obrazów Guida Reni a wielostronnością pomysłów stają prawie na równi. Elżbieta wie, gdzie użyć siły i energji a gdzie tonów łagodnych i słodyczy; a w niektórych obrazach swych odznacza się taką siłą i śmiałością traktowania przedmiotu, że prawie wierzyć nie chcemy aby obrazy te mogły być robione słabą i delikatną kobiéty ręką.

Elżbieta jest postacią tak wdzięczną — że powieść o niéj radzibyśmy przedłużyć w nieskończoność — gdyby — ale o tém późniéj. Tu powiemy jeszcze — za współczesnymi — że artystka nasza nie była szczęśliwą mimo uwielbienia współziomków i sławy, mimo stanowiska jakie zajmowała w gronie artystów — gdyż kochała młodego artystę pierwszą, gorącą miłością — a ojciec nie pozwolił jéj poślubić owego artysty i myśleć o jakichkolwiek związkach zakazał. W sztuce więc szukała pociechy — a miłość ukryta w głębiach serca dawała jéj natchnienie do pracy artystycznéj, dopóki — ręka skrytobójcy nie przerwała wątku młodego jéj życia.

Tak jest Pani — Elżbieta została zamordowana trucizną a dotąd nie wiemy, z jakiéj przyczyny i przez kogo. Akta procesu bardzo niedokładne nie wyjaśniają nam mordu, który przerwał 23-letnie życie artystki — a nam powieść o niéj.

Wyobrazi sobie Pani, jaki rozruch panował w Bononji na wieść o tajemniczéj śmierci ulubionéj artystki. Miasto urządziło wspaniałe egzekwie w kościele św. Dominika, a zwłoki jéj pochowano w tymże kościele w kaplicy Madonny del Rosario.

Spoczywa więc Elżbieta Sirani pod jednym dachem z Guidem Reni, z tym samym mistrzem, którego dzieła zaprowadziły ją do świątyni artystycznego piękna. Genjusz sztuki byłby jéj pewnie włożył na głowę nieśmiertelności wieniec i postawił na równi z nauczycielem, gdyby nie śmierć przedwczesna.

Elżbieta żyła krótko a mimo to wpływ jéj na sztukę bonońską jest znaczny, gdyż artystka, tak utalentowana jak ona, obdarzona tak wysokiemi przymiotami duszy i serca, musiała do siebie przyciągać młode talenta niewieście.

I tak było istotnie. Elżbieta miała dosyć uczennic a wpływ jéj rozciągnął się po za grób, gdyż na dziełach jéj kształciła się znaczna liczba artystek mniéj lub więcéj uzdolnionych.

Do bezpośrednich uczennic Elżbiety należą prócz dwóch jéj sióstr Barbary i Anny Marji Sirani — malarki: Wincencja i Weronika Fabri, Ginewra Centofogli, Lukrecja Scarafaglia, Teresa Muratori-Scannabecchi, Maria Coriolani i Weronika Fontana, która była także drzeworytniczką.

Do malarek, które się kształciły pod wpływem szkoły bonońskiéj w ogóle a na dziełach Elżbiety Sirani w szczególe, należą malarki: Lukrecja Bianchi, Lucja Casalini, Anna Messieri, Kamila Lauteri, Angelica Cantelli-Cavazza i inne.

Agnieszka Dolce (um. r. 1686) kopjowała wiernie dzieła swego utalentowanego ojca Karóla Dolce.

Do szkoły bonońskiéj należy także malarka Hersylja Creti — uczennica ojca swego Donata Creti; Marja Vanni i Katarzyna Lucatelli.

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

— To jest... że sądzicie... oh! nie męczcie mnie dłużéj! wybiegło nagle z ust Heleny.

— Sądzę, dokończył pospiesznie Bersenjew, — że teraz Insarow pokochał rosyjskie dziewczę i, wierny swemu ślubowi, postanowił uciec.

Helena mocniéj jeszcze zacisnęła ręce jego w swoich i niżéj spuściła głowę jakby chciała ukryć przed obcém okiem nagły rumieniec, który jéj oblał twarz i szyję.

— Andrzeju Piotrowiczu wyście dobrzy, dobrzy jak anioł, powiedziała. — Ale on przecież przyjdzie się jeszcze pożegnać?

— Tak myślę, pewnie przyjdzie, bo nie będzie chyba chciał tak się rozstać...

— Powiedzcie mu, powiedzcie...

Ale nie mogło już dłużéj biedne dziewczę kłamać spokoju; łzy rzuciły jéj się do oczu, wybiegła pospiesznie.

— Więc tak go kocha, myślał Bersenjew zwolna idąc do domu. — Tego nie byłbym się spodziewał; i nie byłbym też sądził nigdy, że rzeczy w ogóle tak już daleko zaszły! Jam dobry, powiedziała ona. A któż może zaręczyć z jakich ja pobudek, z wypływu jakich uczuć udzieliłem Helenie wszystkich tych wiadomości? Z dobroci to nie wypływało, o, nie z dobroci. Wiecznie to przeklęte pragnienie świadomości, pewności, światła, ta żądza przekonania się że sztylet tkwi w ranie istotnie! Powinienem się cieszyć... oni kochają się wzajem, a ja im dopomogłem... Szubin nazywa mnie przyszłym pośrednikiem między wiedzą a rosyjską społecznością; zdaje się, że od urodzenia pomazano mnie na pośrednika. Ale gdybym się mylił? Nie, ja się nie omyliłem...

Gorżko było w sercu Andrzeja Piotrowicza, i Raumer nie chciał mu dziś jakoś iść do głowy.

Nazajutrz, około drugiéj po południu, zjawił się Insarow u Stachowów. Przypadek chciał, że w téjże chwili właśnie Anna Wasilewna w swym saloniku przyjmowała kogoś z odwiedzających. Była to żona jednego z okolicznych duchownych, zacna i szanowna osoba, ale chwilowo właśnie zaplątana w małe z policją nieporozumienie, a to z powodu, że raz w czasie letnich upałów miała fantazję kąpania się w stawie nad drogą, którą przejeżdżać zwykła była rodzina jednego z ważnych jenerałów. Obecność obcéj osoby była z początku bardzo na rękę Helenie, która zbladła jak chusta posłyszawszy kroki Insarowa; ale ta myśl, że on może się pożegnać, nie zamieniwszy z nią kilku słów na osobności, ściskała

jéj serce. On sam był jakoś pomięszanym i widocznie unikał jéj wzroku. — Czyżby rzeczywiście miał się zaraz pożegnać? myślała Helena. Insarow w rzeczy samej zdawał się zwracać do Anny Wasilewny, Helena podniosła się szybko, podeszła ku oknu i tu go odwołała. Żona popa była zdumioną i próbowała się ku nim odwracać, ale z powodu zbrojnéj stalą sznurówki, która z całym wysiłkiem ściskała jéj obszerną kibić i trzeszczała niemiłosiernie za najmniejszém poruszeniem, musiała spokojnie siedzieć na miejscu.

— Ja wiem po co wy dziś tu przyszliście, mówiła Helena pospiesznie; — Andrzéj Piotrowicz uwiadomił mnie o waszém postanowieniu, ale proszę was, błagam na wszystko, nie chciejcie dziś nas żegnać; przyjdźcie jutro, wcześniéj, o jedenastéj przed południem. Muszę wam powiedzieć słów kilka.

Insarow milcząco skinął głową.

— Nie będę was powstrzymywać, to pewna... Czy mi przyrzekacie?

Insarow znów schylił głowę, ale nic nie odpowiedział.

— Helenko, chodź no, zawołała Anna Wasilewna, — patrz jaki pani ma piękny woreczek do roboty.

— I sama go zrobiłam, dodała popadja.

Helena opuściła okno.

Insarow pozostał jeszcze kwadrans tylko u Stachowów, Helena śledziła go uważnie. Był jakiś niezadowolniony, zaambarasowany, wzrok jego błąkał się bezustannie, nie wiedział na czém go zatrzymać i oddalił się téż w sposób dziwny... nagle, niemal niepostrzeżenie.

Dzień ten wlókł się dla Heleny; jeszcze więcéj wlokła się dla niéj długa, długa noc bez końca. To siedziała całemi godzinami na łóżku z twarzą naprzód pochyloną splecionemi rękoma objąwszy kolana, to znów podchodziła do okna i przyciskała palące czoło do zimnego szkła szyby i myślała, myślała aż do wyczerpania wiecznie tychże samych myśli. Serce jéj zmieniło się w kamień, znikło gdzieś całkowicie z jéj piersi, nie czuła już tam jego uderzeń; ale głowę za to rozsadzała gorączka, w żyłach skroni krew gwałtowném uderzała tętném, włosy pałały i wargi oschły zupełnie. On przyjdzie... on się z mamą jeszcze nie pożegnał... on nas nie zwiedzie... Czyżby Andrzéj Piotrowicz miał słuszność? To być nie może... Słowem nie dał mi zapewnienia, że przyjdzie... Czyżby mnie miał na zawsze opuścić?... Te myśli oblegały ją bezprzestannie... nie odchodziły one i powracały znowu... ale okrążyły ją nieprzerwaném kołem jak mgła dni jesiennych. — On mnie kocha! zadrgało nagle w wszystkich jéj członkach, i wzrok nieruchomy utkwiła w ciemności nocy; usta złożyły się do tajemniczego, niedojrzanego niemal uśmiechu... ale go zaraz stłumiła, splecione ręce zarzuciła na szyję i znów jak mgła owiała ją sieć myśli, obracających się w wiecznie jedném, dawném kole. Nad ranem rozebrała się i położyła w łóżko, ale zasnąć nie mogła. Pierwsze ogniste promienie słońca wpadły do jéj pokoju... — O, kiedy on mnie kocha! zawołała nagle i nie wstydząc się tych jasnych światła promieni, które ją oblewały, wyciągnęła przed siebie białe ramiona....

Powstała z łóżka, wrzuciła pospiesznie ubranie i zeszła na dół. Nikt jeszcze nie zbudził się w całym domu; poszła więc do ogrodu, ale tam panowała taka niezmącona cisza, tak tam było świeżo, zielono, ptaki świergotały tak poufale, kwiaty tak radośnie podnosiły ku słońcu swe wonne korony, że ten widok szczęścia przyrody począł razić wzrok jéj niemile. — O! pomyślała, — jeśli to prawda, to nie ma w świecie jednego źdźbła trawy, które byłoby szczęśliwszém odemnie, czy to prawda tylko? Powróciła znów do swego pokoju i chcąc jakokolwiek czas zająć, zaczęła zmieniać ubranie. Ale wszystko wypadało jéj z ręki i siedziała jeszcze ledwie przez pół ubrana przed zwierciadłem, gdy ją zawołano do śniadania. Zeszła; matka dostrzegła niezwykłéj bladości jéj twarzy, ale powiedziała tylko: Jak ty dziś zajmująco wyglądasz, a rzuciwszy wzrokiem na ubiór, dodała: W téj sukni bardzo ci do twarzy, kładź ją zawsze ilekroć będziesz się chciała komu podobać. Helena nic nie odpowiedziała i zajęła miejsce na rogu stołu. Wybiła dziewiąta: jeszcze dwie godziny do jedenastéj. Wzięła książkę do ręki, potém robotę, potém znów książkę; późniéj powiedziała sobie, że przejdzie jeden szpaler sto razy tam i napowrót i dokonała tego; potém długo przypatrywała się pasjansowi, który kładła Anna Wasilewna... spojrzała na zegar — jeszcze nie było dziesiątéj. Szubin wszedł do saloniku. Próbowała z nim rozmawiać i tłómaczyła się przed nim sama nie wiedziała z czego... Każde wymówione słowo nietylko że jéj niemałym było trudem, ale dziwiło ją samą i raziło. Szubin nachylił się do niéj; spodziewała się żartu, podniosła ku niemu oczy i spotkała się z wyrazem smutnym i współczującym na jego twarzy... Uśmiechnęła się do téj twarzy. Szubin odśmiechnął się w nieméj odpowiedzi i oddalił się cicho, w milczeniu. Chciała go zatrzymać, ale niezaraz przypomniała sobie, jakby go zawołać trzeba. Wreszcie wybiła jedenasta. Zaczęła czekać, czekać i słuch wytężać. Nie była już w stanie nic robić: przestała myśleć nawet. Teraz serce poczęło znów uderzać silnie, zbudziło się z letargicznego snu, w który je ubiegła noc spowiła, uderzało coraz, coraz to głośniéj i, rzecz dziwna, czas zdał się ubiegać prędzéj. Kwadrans przeszedł, pół godziny, potém znów minut kilka, jak się zdawało Helenie, i nagle zadrżała: uderzyła godzina, tak, to nie dwunasta, to pierwsza. — On nie przyjdzie, on odjedzie bez pożegnania... Ta myśl strumieniem krwi uderzyła jéj do głowy. Czuła, że tchu jéj zbrakło, że niepowstrzymanym wybuchnie płaczem... Pobiegła do swego pokoju i upadła na łóżko twarz w załamanych dłoniach ukrywszy.

Pół godziny leżała tak nieporuszenie; łzy przez palce przeciekały na poduszki. Naraz porwała się, wyprostowała i usiadła; nagle coś dziwnego w niéj zaszło: twarz się jéj zmieniła, oczy oblane łzami przed chwilą oschły same przez się zupełnie i dziwnego nabrały blasku, brwi wystąpiły wyraziściéj, usta się zacisnęły. I znów upłynęło pół godziny. Helena po raz ostatni wytężyła ucho czy go nie dojdzie dźwięk znanego głosu? Powstała, włożyła na głowę kapelusz, naciągnęła rękawiczki, zarzuciła płaszczyk na ramiona i cicho wyśliznęła się z domu. Przyspieszonym krokiem zwróciła się na drogę prowadzącą do mieszkania Bersenjewa.

XVIII.

Helena szła z głową naprzód podaną, z wzrokiem nieporuszenie w dal utkwionym. Nie obawiała się niczego, nad niczém nie zastanawiała: chciała tylko raz jeszcze widzieć Insarowa. Tak szła nie zważając, że słońce dawno już skryło się za oponę czarnych, ciężkich obłoków, wiatr głucho szumiał w drzew gałęziach, wstrząsał je silnie i igrał z fałdami jéj sukni, że z dala tuman kurzu wysoką, szarą kolumną w piekielnym wirze przeciągał drogą. Od czasu do czasu padały już nawet wielkie, ciężkie krople deszczu, ale ona i na to nie zwróciła uwagi; deszcz coraz stawał się mocniejszym, błyskawice rozdzierały niebo, grzmot dał się słyszeć w oddali. Helena zatrzymała się i obejrzała w około... Na jéj szczęście niedaleko miejsca w którém ją zaskoczyła burza stała mała, opustoszona kapliczka tuż obok zasypanego źródła. Pod dach ten niski, pochylony, schroniła się przed szalejącą burzą. Deszcz płynął strumieniami, niebo w około zasute było chmurami. Z niemą rozpaczą patrzała Helena w tę sieć gęsto i szybko padających kropel. Ostatek nadziei zobaczenia Insarowa znikał dla niéj bezpowrotnie. Stara żebraczka weszła

w téj chwili do kapliczki i otrząsając wodę z swéj sukni usiadła na progu jęcząc i stękając. Helena sięgnęła ręką do kieszeni, staruszka dostrzegła ruch ten i twarz jéj żółta, pomarszczona, niegdyś może piękna, rozjaśniła się i ożywiła. — Dzięki ci moja duszyczko, rzekła. Helena nie znalazła w kieszeni portmonetki, a stara wyciągnęła już rękę...

— Pieniędzy nie mam, matko, rzekła Helena, — ale weźcie to, może wam się na co przyda.

I podała jéj chusteczkę.

— O, moje piękne dziecię, odpowiedziała żebraczka, — na cóż mnie się przyda twoja chusteczka? Zachowam ją dla wnuczki kiedy ją za mąż wydawać będę. Niech ci Bóg nagrodzi twoją dobroć!

Uderzenie piorunu dobiegło ich ucha.

— Panie Jezu! wyjąknęła stara i potrójnym przeżegnała się krzyżem. — Zdaje mi się, moje dziecko, żem ja cię raz już widziała, dodała po chwili. — Czyś ty mi kiedyś nie dała jałmużny?

Helena popatrzała na staruszkę i poznała ją.

— Tak, matko, odparła. — Pytałaś mnie wtedy jeszcze czemu jestem tak smutną?

— Prawda, moje kochanie, prawda. Wiedziałam przecież, że cię znam. I teraz nie zdajesz mi się weselszą; a i chusteczka twoja cała przesiąkła łzami. Ah, wy panny macie zawsze tenże sam ból, zawsze jedno wielkie zmartwienie!

— Jakiż to ból, mateczko?

— Jaki ból? Ach, moja piękna panienko, mnie starą ty nie zwiedziesz. Ja dobrze wiem co cię boli. I ja byłam młodą, panienko, i ja przeszłam to wszystko. Tak. A teraz za twoje miłosierne dla mnie serce ja ci coś powiem: jeśli znalazłaś prawego człowieka, nie takiego jak mniéj więcéj wszyscy pędziwiatra, to go nie opuść, nie odstąp już nigdy; idź z nim silnie ręka w rękę aż do grobu. Jeśli związek wasz ma przyjść do skutku, to przyjdzie, jeśli nie, to taką była wola Boga. Tak. Czemu tak na mnie spoglądasz? Kto wie, może ja umiem przepowiadać. Zobaczysz, ja z tą twoją chusteczką razem uniosę ztąd wszystkie twe zmartwienia! Uniosę je ztąd i znikną zupełnie. Widzisz, dziecko, deszcz już ustaje, przeczekaj go tu, ja zaś muszę odejść. Dla mnie zresztą deszcz nie nowina. Nie zapominaj więc, moje kochanie, zmartwienie jak przyszło tak poszło i nic ci nie zostanie z niego. O mój ty Boże!

Stara powstała z progu, opuściła kapliczkę i wolnym krokiem poszła w swoją stronę. Helena patrzała za nią zdumiona. — Co to ma znaczyć? szepnęła mimowolnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czy istniał Wilhelm Tell?

(Szkic historyczny.)

Kwestja egzystencji Tella, rozstrzygnięta już dość dawno na Zachodzie, u nas dotąd ogółowi znana zaledwie ze słychu, przez ludzi nawet prawdziwie wykształconych traktowana z lekceważeniem i niedowiarstwem, skłania nas do zwięzłego przedstawienia stanu rzeczy na podstawie badań uczonego historyka Ottona Henne-Am-Rhyn.

W kraju naszym, gdzie konserwatyzm naukowy, głębokie zapuściwszy korzenie, króluje dotąd wszechwładnie, gdzie Tell do dni obecnych uchodzi za równie historyczną postać jak którykolwiek z nowoczesnych bohaterów — występując z dowodami nawet w ręku przeciw dotychczasowym mniemaniom, odzywając się ze zdaniem, że ten rzekomy oswobodziciel Szwajcarji z pod austrjackiego jarzma jest po prostu mytem — można się w pewnych sferach narazić na zarzut donkiszoterji, na porównanie z autorem wiekopomnéj niedorzeczności p. n. „Dowód, że Napoleon nigdy nie istniał.“ (Wyszło w Poznaniu u Heinego).

W chwili, gdy krytyka historyczna za granicą do olbrzymich dochodzi rezultatów, gdy przed bystrym wzrokiem wielkich badaczy pierzchają ułudne mary kronikarskich podań i legend a myślący ogół z wdzięcznością przyjmuje te błogie owoce pracy i genjuszu swych uczonych — w téjże chwili u nas drobna zaledwie garstka krząta się na tém polu a wyniki jéj badań nietylko nie przenikają do głębszych warstw społeczeństwa, lecz nawet odpychane bywają niebacznie bez wysłuchania argumentów przez tych, co skutkiem swéj intelligencji i talentu powinniby poważniéj zapatrywać się na sprawę poszukiwań dziejowych. Gdy przed kilkudziesięciu laty magnat polski, mający osobliwe wyobrażenie o patrjotyzmie, ofiarował kilka tysięcy dukatów Niemcowi, który w uczonym traktacie zaprzeczał egzystencji naszego Lecha, z warunkięm, aby pracy swojéj nie ogłaszał drukiem — mniéj nas to dziwiło i bolało, aniżeli gdy dziś, czego byliśmy świadkami, pisarze, w innym rodzaju pierwszorzędne zajmujący stanowisko, piorunowali przeciw krytycznemu zwrotowi historjografji nowoczesnéj, przeciw zaaklimatyzowaniu go na naszéj glebie jako złemu nabytkowi z Niemiec, a specjalnie brali w obronę Długosza (oczywiście w sposób ogólnikowy) tam nawet, gdzie nowsze badania matematycznie fałszu mu dowiodły.

Daremne to usiłowania — bo nie powstrzymają postępu nauk historycznych; rydwan czasu potoczy się zwycięzko po nad zacofanymi, bo niepowrotnie minęła już epoka, gdzie przepisywanie starych kronik nazywało się historją.

Doskonaląca się z upływem czasu umiejętność historyczna, dążąca do oczyszczenia dziejów z tak licznych do niedawna baśni i podań, które jako takie, jako wypływ bujnéj fantazji ludu są bardzo szacowne lecz z księgi opisującéj rzeczywiste losy ludzkości stanowczo ustąpić powinny — ta mówię umiejętność dla dopięcia pięknego swego zadania wyklucza obecnie wszystko, co nie daje gwarancji prawdy, a uwzględnia jedynie dokumenta i współczesne kroniki, poddając nadto drugie surowéj krytyce, śledząc, czy ten lub ów pisarz gwoli swoim lub stronnictwa swego sympatjom lub antypatjom nie wszedł w układy ze swém dziejopisarskiém sumieniem, nie sprzeniewierzył się owéj wzniosłéj, przez samego przecież autora, Tacyta, częstokroć nie uwzględnionéj zasadzie: „sine ira et studio.“

Nieocenione są zasługi koryfeuszów, którzy pierwsi popchnęli naukę historji swojego lub obcego ludu na nowe, jedynie racjonalne tory a tém samém śmiałą dłonią zerwali czarną zasłonę, kryjącą promienne słońce prawdy. Takim mężem dla historji starożytnego Rzymu n. p. był Niebuhr — dla historji Szwajcarji Kopp z Lucerny. Pierwszego wyłomu w budowie stereotypowéj powieści o początku niepodległości helweckiéj dokonał on wydanym w r. 1835 skromnym na pozór zbiorem dokumentów. Odtąd on i uczniowie jego tak silnemi taranami bili w ten sztuczny i na ciemnocie wieków oparty gmach, że zachwiał się i runął, torując drogę światłu

a historja Tella otrzymała nazwę podania o Tellu.

Zanim wykażemy, jaką drogą gadka o Tellu w poważnéj historjografji zyskała prawo obywatelstwa, stawimy sobie poprzednio przed oczy prawdziwy przebieg wypadków, w których Tellowi pierwszorzędny przysądzono udział.

W r. 853 obdarzył król Ludwik Niemiecki klasztór żeński w Zurychu tamtejszemi dobrami królewskiemi, do których należała i większa część kraiku Uri. W roku 1218, po wymarciu książąt Zähringen, owoczesnych zarządców rzeczonego klasztoru, cesarz Fryderyk II zwierzchność nad nim przekazał na zawsze państwu. Wkrótce przecież darował Uri Rudolfowi Starszemu, hrabiemu na Habsburgu, dziadowi późniejszego cesarza tegoż imienia. Henryk, syn Fryderyka, zbuntowawszy się przeciw ojcu, dla zapewnienia sobie przejścia przez górę św. Gotarda i złączenia się z włoskimi sprzymierzeńcami, uwolnił Uri od panowania Habsburgów (1231). Odtąd rządzi się już kraik ten samodzielnie jako wolna gmina z wójtem na czele, obieranym początkowo przez cesarza.

Natomiast dolina Szwyc od najdawniejszych historycznych czasów była siedzibą samych niemal wolnych ludzi, żyjących w ciągłéj waśni z klasztorem Einsiedeln a sprzymierzonych z hrabiami na Lencburgu. Rudolf Starszy, hrabia na Habsburgu, obrany przez sporne strony polubownym sędzią, wypełniał ten urząd jako spadkobierca hrabiów lencburgskich i podpisywał się „von rechter Erbschaft Vogt u. Schirmer deren von Schwiz.“ Odtąd rościli sobie już Habsburczycy prawo do zwierzchnictwa nad mieszkańcami doliny Szwyc. Dla uwolnienia się od téj samowolnie narzuconéj sobie opieki, zażądali od cesarza Fryderyka II, aby tylko w stósunku do samego cesarstwa pozostawali w pewnéj niezależności, co im téż przyznał Fryderyk w r. 1240 przed Faenzą we Włoszech. Po zdetronizowaniu Fryderyka przez papieża, stronnik drugiego, Rudolf Habsburg-Laufenburg, wuj późniejszego cesarza Rudolfa, ponowił swoje uroszczenia do Szwyc a uproszony przezeń papież zagroził klątwą opierającym się mieszkańcom doliny Szwyc i sprzymierzonym już z nimi mieszkańcom Unterwalden i Lucern. Środek ten skutkował. Dopiéro krótko przed śmiercią cesarza Rudolfa Habsburgczyka, w r. 1291 polepszył się ich los o tyle, że na mocy cesarskiego przywileju wójtem mógł zostać tylko człowiek wolny.

Gorzéj wiodło się kraikowi Unterwalden czyli rozdzielonym jeszcze wówczas dolinom Sarnen i Stans. Dzierżyli go różni panowie, głównie Habsburgowie, lecz mimo to, jak się już rzekło, sprzymierzał się z mieszkańcami Szwycu. Gdy cesarstwo po śmierci Rudolfa I na nowo stało się teatrem anarchji i walk bratobójczych, trzy te kraiki, t. j. Uri, Szwyc i Unterwalden odnowiły na dniu 1 sierpnia 1291, jak się wyrażały, na wieki, swój „stary związek.“ W tymże jeszcze roku połączyły się również Zurich, Uri i Szwyc. Habsburgowie widząc wymykającą im się z rąk władzę nad krajem, który już za swój uważać przywykli, najechawszy go wszczęli wojnę, o któréj nic jednak nie wiadomo. Cesarz Adolf Nassawski, wróg Habsburgów, potwierdził w r. 1291 swobody Uri i Szwyc. Zaniechał tego oczywiście rywal jego i następca, Albrecht Austrjacki — lecz wbrew podaniu żyli wówczas Szwajcarowie pod wodzą swych własnych wójtów. Urząd ten piastował w Uri w r. 1294 i 1301 Werner z Attinghausen, w Szwyc r. 1295 Konrad ab Iberg — w r. 1303 Stauffacher we Szwyc, Rudolf z Adisried w Unterwalden. W r. 1308 po zamordowaniu Albrechta zażądali sprzymierzeni od Henryka VII, aby potwierdził ich swobody, które on rozciągnął nawet i na mieszkańców Unterwalden, nie posiadających dotąd przywilejów.

Niezadowoleni z takiego biegu sprawy Habsburgowie, pragnęli przez Leopolda Austrjackiego pozyskać dawne swoje prawa. Cesarz chciał zwołać sąd polubowny, czemu wszakże przeszkodził rychły zgon jego. Ludwik Bawarski, zasiadłszy na tronie a potrzebując sprzymierzeńców w walce z rywalem Fryderykiem Austrjackim, stanął po stronie związkowych. Książę Leopold Austrjacki, dochodząc uroszczonych praw do trzech państewek, rozpoczął wojnę, zakończoną dlań niefortunnie straszliwą klęską pod Morgarten (1315) — poczém Ludwik potwierdził swobody sprzymierzonych na nowo kraików.

Tak brzmi prawdziwa, na dokumentach oparta historja powstania związku szwajcarskiego, liczącego z biegiem czasu coraz więcéj państewek, zwanych późniéj kantonami. Zobaczmy, jaką aureolą otoczyli te wypadki kłamliwi kronikarze, jak cudownemi zmyśleniami urozmaicili suche opowiadanie.

W wieku czternastym, w porze rzekomego wystąpienia Tella przeciw brutalnéj tyranji pisało o Szwajcarji trzech kronikarzy, a mianowicie: mnich Jan z Winterthur, mnich Jan z Hietring w Karyntji i pisarz biskupiego sądu w Strasburgu, Mateusz z Neuenburga w Bryzgowii. Wszyscy trzéj opisują tylko bitwę pod Morgarten; wedle pierwszego przyczyną wojny było odmówienie posłuszeństwa Leopoldowi ze strony trzech kantonów, wedle zaś dwóch drugich nieukrócona pycha i chciwość księcia, łaknącego wiecznie nowych podbojów. Rzecz godna zastanowienia, że mnich szwajcarski staje po stronie Austrji, austrjacki po stronie Szwajcarów, Mateusz zaś opowiada krótko i bezstronnie. Nigdzie przecież nie ma wzmianki o sprzysiężeniu, Tellu, Gesslerze i t. p. Pisarz miejski z Berna, autor kroniki kreślonéj na początku XIV wieku, opowiada, że za dawnych czasów, jeszcze przed założeniem Berna (1191), mieszkańcy Uri, Szwyc i Unterwalden toczyli bój z Habsburgami, ponieważ ich namiestnicy w Szwyc i Unterwalden łamali dawne prawa, dopuszczali się gwałtów względem ich żon i cór, co trwało aż do bitwy pod Morgarten. Tu więc po raz pierwszy występują rządzcy czyli namiestnicy cesarscy, brak tu przecież zupełnie chronologji oraz imion tak z jednéj jak z drugiéj strony, jako téż wszelkich innych szczegółów. Wzmianka to ciemna i chaotyczna. Około tegoż czasu dochodzą nas z ust mieszkańca Uri, Puntiner'a i mieszkańca Szwycu, Frund'a, pierwsze podania o rzekomych czynach ich przodków w czasie wędrówki ludów (!), podania wywodzące pochodzenie mieszkańców Szwycu ze Szwecji! Była to patrjotyczna chełpliwość w obec sprzymierzonego z Austrją Zurichu. W imieniu tegoż odpowiedział Feliks Hemmerlin, wywodząc początek ludności Szwycu od Sasów ujarzmionych przez Karóla W. i wysłanych częściowo w Alpy dla strzeżenia przesmyka góry św. Gotarda. Do téj wiadomości dodaje wróg Szwycu opowiadanie o powstaniu tegoż przeciw namiestnikowi austrjackiemu w Liwerg, którego zamek zburzono, podejrzywając go o uprowadzenie dziewczyny — tudzież o równoczesnéj rewolucji Unterwaldczyków przeciw rządzcy imieniem Landenberg w Sarnen.

(Dokończenie nastąpi).

TEATR.

Kto właściwie jest kierownikiem naszego teatru? Trudno zdać sobie z tego sprawę. Firma istnieje de jure — de facto zaś, jest tylko bajecznêm podaniem, rzeczywistości szukać trzeba we mgle. Czas przecie położyć kres temu i istniejące dziś interregnum czy prowizorjum przemienić na stałe rządy; raz dla tego, że republika jest formą rządu nieodpowiewnią dla teatru, a powtóre, że wnosząc z dotychczasowego stanu rzeczy, ów interrex kierujący z za kulis teatrem wcale umiejętnie włada lejcami zaprzęgu Melpomeny.

Jednym z dowodów niech będzie repertoar ubiegłego tygodnia.

Na pierwszym planie postawiono arcydzieło Fredry (ojca) „Śluby panieńskie.“ Wybór téj komedji zdziwił nas i publiczność. Nas dla tego, że znamy smak naszéj publiczności, publiczność zaś dla tego, że to nie była „Wieża piekielna.“ Jakto — dawać w Poznaniu wyborową komedję, arcydzieło polskiéj literatury dramatycznéj? To zbytek odwagi! Odpokutowała też kasa za ten błąd dyrekcji — pierwsze krzesła i loże błyszczały pustkami. Dziwiliśmy się, że grano dla kilku osób, a jeszcze więcéj dziwiliśmy się, że artyści mieli ochotę grać tak dobrze — dla własnéj przyjemności.

Pochwały należą się wszystkim — nikt wprawdzie nie przewyższył samego siebie, jak się lubią wyrażać niektórzy recenzenci — ale sztuka wykonaną była jak się należy. Nie wymieniamy też z tego powodu nikogo prócz p. Mikulskiego (Albin) a to tylko dla tego, żeby go prosić aby się na przyszłość nie charakteryzował na kandydata protestanckiéj teologji.

Na zakończenie wieczoru odśpiewała panna Krasowska dwie arje Małgosi z 3 aktu Gounodowskiego „Fausta“ ku ogólnemu zadowolnieniu dwudziestu słuchaczy, licząc w to tuzin recenzentów.

Dowcipno-złośliwa dyrekcja zrobiwszy „krach“ ze „Ślubami“, dała na następny wieczór płaczliwo-morderczy melodramat „Życie szulera czyli trzydzieści lat.“ Zdaje się, że takie nosi miano owa kulisowa bomba, na którą w innych miejscowościach kucharki nawet nie chcą chodzić. Nasz teatr był zapchany od góry do dołu. Szkoda, że nie wydrukowano afisza czerwonemi farbami — publiczność siadałaby sobie na głowach. Cóż powiedzieć o têm przedstawieniu? Strzelano, sztyletowano, dławiono się, wrzeszczano w niebo głosy, pioruny paliły i obalały domy, a publiczność bawiła się i śmiała wiedząc, że to nie na prawdę. Kto grał dobrze a kto źle trudno powiedzieć — obojętne to zresztą dla naszych czytelników i dla nas. Wiemy tylko, że między innemi występowała maluteńka Wanda Wesołowska (Józefka) któréj śmiałość i werwa zapowiadają artystyczny instynkt, a tymczasem zasługują na funt karmelków.

Ostatnie z kolei przedstawienie przyniosło „Kosę i kamień“ J. I. Kraszewskiego oraz „Okrężne“ I. Korzeniowskiego.

Cóż powiecie łaskawi czytelnicy? Teatr znowu świecił pustkami! A więc precz z dwoma arcymistrzami polskiéj literatury — górą „Wieża piekielna!“

Szkoda wielka — bo perłująca oryginalnym dowcipem, celująca brylantowym djalogiem bluetka Kraszewskiego odegraną była istnie koncertowo. Panna Kwiatyńska (Iza) wysiliła się aby swéj boharce nadać wszystkie chechy skończonéj kreacji. Lekkość, swoboda, bystrość — wycieniowanie wszystkich sytuacji, spadkowanie przeróżnych uczuć i wrażeń — wszystko to widzieliśmy i wszystkiemu dawaliśmy poklask w imieniu nieobecnéj publiczności. Pan Koehler (Roderyk) za wyjątkiem niezupełnie szczęśliwéj charakteryzacji był wyborny — również pani Gajewicz (Baronowa), i pan Wojdałowicz (Kalasanty).

„Okrężne“ jako utwór i jako poprawne wykonanie tegoż mało zostawiło do życzenia, to mało stósuje się do wystawy aktu drugiego. Niepodobieństwem byłoby wyliczać cały poczet występujących artystów, podnosimy zatém tylko wykończoną grę pani Mikulskiéj (Klara) i pani Bolechowskiéj (Tekla), która zwłaszcza w przebraniu za wiejską dziewczynę dała nam typ pełen prawdy.

Jak widzimy, repertoar ubiegłego tygodnia, zapomniawszy o „Życiu szulera“, zasługuje na wszelkie uznanie — szkoda więc tylko, że potrzeba uczęszczania do teatru nie zaczęła się jeszcze krzewić w Poznaniu. Z czasem wyrobi się ona, zwłaszcza, jeżeli obok „Towarzystwa oświaty dla ludu“ zawiąże się „Towarzystwo oświaty dla — oświeconych.“

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Z okazji toczącego się obecnie w Paryżu procesu marszałka Bazaine'a staje między innymi świadkami pułkownik sztabu jeneralnego **Fay**, którego dzieło o ostatniéj kampanji p. t. „Dziennik oficera armji nadreńskiéj“ przełożone przez pułkownika Edmunda Callier na nasz język, znajduje się na składzie w tutejszéj księgarni p. Ludwika Merzbacha oraz w księgarni „Tygodnika.“

* * *

— Nakładem księgarni Priebatscha w Ostrowie wyszło „Wcielenie Inflant do Litwy i Polski — 1558 do 1561 roku“, napisane oryginalnie przez Dr. **St. Karwowskiego.**

* * *

— **Bibljoteki umiejętności przyrodniczych** wydawanéj w Krakowie pod kierunkiem Ludwika Masłowskiego, wyszedł tomu 2go zeszyt XIII, zawierający ciąg dalszy **Wilhelma Wundta** „Wykłady o duszy ludzkiéj i zwierzęcéj.“

* * *

— Nakładem A. Makowieckiego, redaktora Gazety Przemysłowo-Rzemielniczéj, wyszła z druku siódma książka popularna dla rzemieślników: „Jaka droga prowadzi do zamożności“ przez W. N.

* * *

— **Ludwik Grossmann** napisał nową operę polską „Duch wojewody (libretto W. L. Anczyca), która wystawiona na scenie warszawskiéj zyskała powodzenie.

* * *

— Panna **Leopolda Żwierzchowska**, lublinianka, śpiewaczka (contr-alto) zaangażowaną została do opery włoskiéj w Rio de Janeiro.

* * *

— Słynny artysta teatrów warszawskich **Aloizy Żółkowski** obchodził w tym miesiącu 40 letni jubileusz swego dramatycznego zawodu.

* * *

Skrzynka do listów.

P. Piaseckiemu w Chattanooga: Za nadesłane Mu dzieła należy się nam 4 tal. 18 sgr.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.